

# Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego Nr. 21 m. 6.  
Czynne od g. 12—2 oprócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ:  $\frac{1}{1}$  strona — 50 zł.  
 $\frac{1}{2}$  „ — 25 „  
 $\frac{1}{4}$  „ — 13 „  
 $\frac{1}{8}$  „ — 7 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

## Tłum awanturników na trakcie Batorego.

Już to trzeba przyznać, że Stanisław Mackiewicz, jako protektor młodych, ani szczęścia ani umiejętności poznawania się na ludziach nie posiada. Jeżeli się zdarzyło, że wyszukał ludzi zdolnych i utalentowanych, to wkrótce trzeba było rzucić na nich anatemę z racji ideologicznych. Exemplum — „Żagary”. Jeśli zaś młodzi heroldowie spleśniałej konserwy prześcigają się w roli wiernych camelots du roi, — to znowu szwankuje ich strona intelektualna i moralna. Exemplum „Trakt Batorego”, czyli t. zw. dwutygodnik akademików wileńskich.

Od kilku miesięcy ukazuje się przy „Słowie” wileńskim piśmko pod tym właśnie tytułem i skupia przy sobie... ba, żebyż to można wiedzieć, kogo! W artykule, zapewne od redakcji, w numerze 1-ym tego nie tyle sympatycznego, co symptomatycznego dla naszych czasów wydawnictwa, czytamy:

„Nie będziemy tu wystawiać na wstępie żadnego exposé ideowego. Kto będzie chciał poznać prąd ideowy, niech czyta uważnie artykuły, a napewno nie znajdzie niejasności”. „Trakt Batorego” powinien się stać odbiciem wszystkich radości i smutków akademika wileńskiego”. Tytuł pisma, ma według tegoż ustępu, oznaczać różne „hipotezy symboliczne”, m. in. tę, że maszerując traktem pragną ci akademicy dojść tam, „gdzie Batory za mocarstwowych czasów Polski doszedł”.

Cztery miesiące mija, jak ciągnąc tym wyboistym moralnie gościńcem, obiecująca wataha zaszła jednak na kompletne manowce i ugrzęzła w bajorach nieprawdopodobnej judofobji. Dziś można się zupełnie łatwo zorientować, że brak „ideowego exposé” nie był przypadkowy, bo co do kwestji, iż ta ideowość jest mocno zaszargana w zabagnionych nienawiścią zakamarkach „Traktu”—istotnie, niema obecnie żadnej

niejasności. Nie ulega wątpliwości to jedno przynajmniej, że sławetny „Trakt” nie tyle jest odbiciem wszystkich akademików, ile od bicia wszystkich akademików Żydów. Na trakcie tym rozpanoszyła się banda najobskurniejszych grasantów pseudoideowych, a takie wielomówne tytułiki artykułów—jak Ładu, ładu, kij do zadu, Kijem po szpaltach, Stulcie pyski!—dość niedwuznacznie określają poziom.

Splątanie zwykłego chamstwa z metodami kradzieży hasel, które dotychczas były monopolem młodzieży endeckiej, pomieszanie wielkomocarstwowych tradycji dawnej Rzplitej z ponurą tradycją „wypadków listopadowych”, judofobja posunięta tak daleko, że granicząca z pospolitem szczuciem przeciwko Żydom, tupet, bezczelność, ignorancja prawdy obiektywnej, oto elementy, którymi walczą wojowniczy raubritterzy z „Traktu Batorego”. Niech się nie dziwią przeto, że bezstronny obserwator nie zbliży się do tego traktu bez broni, a ponieważ ulubioną bronią tych ideowych grasantów jest kij, z kijem więc trzeba do nich podchodzić.

Oczywiście kierunkiem, na którym hasa się po trakcie, jest judofobja. Antysemityzm zawsze znajdował w części młodzieży polskiej chętny posłuch, opierała nim dotychczas wyłącznie młodzież wszechpolska, na jej chwałę jednak trzeba bezstronnie powiedzieć, że tak niesłychanie niskiego poziomu, takiej nędzoty intelektualnej, jaka cechuje wycpociny włóczykijów z Traktu Batorego, żadne z pism młodzieżowych dotychczas nie posiadało. Dawne to czasy, kiedy organizacja pt. „Myśl Mocarstwowa”, skupiająca małą grupkę młodzieży akademickiej, oficjalnie obecnie firmująca „Trakt Batorego”, należała do obozu, zajadłe zwalczającego młodych narodowców właśnie za ich antysemityzm, a poszukując przeciwko nim sprzymierzeńców wszędzie, gdzie się dało, drukowała pełne oburzenia protesty, potępiające gwałty antyżydowskie.

Było to jednak za tych dobrych czasów, kiedy

walka z młodzieżą endecją popłacała. Źródeł obecnego antysemityzmu dopatrzyć się nie trudno. Dziś sytuacja uległa zmianie i tak, jak sam Mackiewicz stał się w obozie pomajowym uciążliwym zawalidrogą i z konieczności przeszedł do opozycji, w chwili obecnej większe dającej możliwości i większą swobodę ruchów, również i konserwatywny narybek „mocarstwowców” wystawił nosy na wiatr—wyczuwając nowe kierunki. Zrozumiano, że deklamacją o mocarstwowości, o idei Jagiellońskiej trudno było zdobyć popularność, poszło się więc po rozum do endecji i spreparowano taki bigos, nawarżono takiego piwa mocarstwowo-antysemickiego, że uderzyło ono do słabych łbów akademickich i czupurna a zadzierzysta wataha, prześcignawszy swych mistrzów, rozhułała się w najlepsze po różnych „traktach”, i wznosząc podniecające okrzyki—rozpoczęła istne polowanie na każdą głowę żydowską, jaka się w promieniu „Traktu” znalazła.

A czynią to gwoli „zdobycia mocarstwowości Polski”. Oczywiście—dla nikogo nie może ulegać wątpliwości, że tylko tędy wiedzie droga do potęgi państwa! Albowiem Żydzi, stanowiący 10% obywateli państwa polskiego to, według „ideologii wielkomocarstwowej”, element, na którym w razie wojny polegać nie można i osłabiający obronność kraju. „Polska młodzież antysemicka,—woła autor jednego z artykułów, zamieszczonych w „Trakcie”,—ta, której dzisiaj humanitarni demokraci zarzucają rozbestwienie żydźczych instynktów, wyczuwa, że idąc w pierwszych szeregach armji, może otrzymać kule w plecy od żydów”. Oczywiście z takim „argumentem” polemizować nie sposób i nie warto. Wystarczy przypomnieć przysłowie: Na złodzieju czapka gore! Dlaczegoż to bowiem „humanitarni demokraci” nie żywią podobnych obaw?

Gdzieindziej skarży się naiwniaczek na fakt, że Żydzi nie chcą się wciąż otrząsnąć z wpływów kultury rosyjskiej, chętnie posługują się tym językiem i t.d. Zbrodnia! Najciekawsze jest tu odwrócenie całego zagadnienia, którego perfidji pozazdrościłby sam Mach-

iavelli. Najpierw wybija się zęby Żydom i Żydówkom, stosuje się pałkę i kastet w walce o „mocarstwowość państwa”, potem udaje się święte oburzenie z tego powodu, że Żyd, poczęstowany pięścią przez łeb, znajduje w sobie tak mało entuzjazmu do tej dziwnej kultury, która aprobeuje pięść jako główny argument walki „ideowej”. I jeszcze jedno. Nie mam tu zamiaru kruszyć kopji w obronie lojalności obywatelskiej Żydów,—to ich sprawa.

Szkoda tylko, że pan cenzor, który szpalty „Przeglądu Wileńskiego” zaszczyca szczególnymi względami, niezainteresował się przytoczonymi cytatami, nasuwającymi pewne wątpliwości, czy w tak lapidarnie ujętych zdaniach, jak wyżej—a zobaczymy, że i niżej—nie kryją się jakoweś jady, przeznaczone wyraźnie na użytek, który według któregoś tam paragrafu kodeksu karnego zowie się podburzaniem jednej części obywateli przeciwko drugiej. Jednakże to, co uszło uwagi cenzora w piśmie o tak „mocarstwowo-państwowym” tytule, jak „Trakt Batorego”, nie może nie znaleźć odpowiedniego rezonansu na naszych szpaltach.

Swoją katolickość rąbajły z „Traktu” w dziwny i ich etyce tylko właściwy sposób łączą z programowym hasłem: „Żydzi z Polski muszą być usunięci a majątki ich odebrane drogą ustaw”. Żeby nie było „niejasności”, jest i komentarz, dlaczego tak postąpić wolno. Albowiem: „Żydzi wszędzie działają na szkodę państwa. Obrona przed szkodnikami jest prawem i obowiązkiem moralnym tak jednostki jak grupy... Niepodległość państwa polskiego wywalczyli Polacy. Żydzi jak to wykazuje historia, utrudniali tę walkę. W państwie niepodległym Żydzi uzyskali prawa obywatelskie za darmo! Nie położyli oni bowiem żadnych zasług nad odzyskaniem niepodległości. Naród polski ma prawo moralne odebrać im równouprawnienie jako ludziom, którzy praw obywatelskich używają na szkodę państwa!”

Co za przenikliwość, jaki rozum stanu! Wartoby tu rzucić jedno pytanie: czy Ukraińcom naród polski ma prawo moralne odebrać równouprawnienie, boć

## „Problem etniczny Polesia”.

Ciekawe to zagadnienie poruszył niedawno p. Józef Obrębski, ogłaszając pod tytułem powyższym artykuł w „Sprawach Narodowościowych”, wydany też w osobnej odblacie, jako tomik 26 biblioteki tegoż czasopisma (Warszawa, 1936).

Problem etniczny Polesia p. Obrębski formułuje teoretycznie naprzód w dwóch pytaniach:

„1) Czy lud Polesia jest narodem białoruskim czy ukraińskim? Czy też stanowi może *tertium quid* albo jakieś *mixtum compositum ruthenense*?

„2) Jakie obiektywne kryteria językowe czy etnograficzne, pomijając już inne, decydują o przynależności częściowej lub całkowitej tego ludu do jednej z tych grup?”

Takie jednak ujmowanie zagadnienia według naszego etnologa musi być ze stanowiska socjologii

współczesnej zakwestjonowane. „Naród nie jest rzeczywistością konkretną; jest on grupą społeczną, i jako grupa społeczna — tworem humanistycznym”. Stąd „o tem, jakim narodem są mieszkańcy Polesia, decydują nie te czy inne cechy językowe lub etnograficzne, lecz te przejawy życia narodowego, które wśród nich istnieją i ich świadomość narodowa”, czyli cała sprawa sprowadza się do kwestji odrębności i świadomości narodowej. „Podział na grupy ludowe czy ugrupowania etniczne nie może się opierać o dane obiektywistyczne, zaczerpnięte z różnych systemów naukowych. Musi się oprzeć o swoje własne (!) dane, wśród których na pierwszym miejscu musi się znaleźć poczucie odrębności jakiegoś odłamu ludu w stosunku do innych odłamów. Tam, gdzie tego poczucia niema, nie może być mowy o grupach etnicznych w znaczeniu społecznym”.

P. O. wymaga dalej, by ugrupowania ludowe wyodrębniły siebie nawzajem, jednak bardzo jest ską-

przecież oni „nie położyli żadnych zasług nad odzyskaniem niepodległości”, a nawet zbyt tragicznie dla stron obu „utrudniali tę walkę”?

Na ten temat akademicy z „Traktu Batorego” mają pogląd swoisty. Posłuchajmy, co o tem piszą: „Antypolskie, separatystyczne dążności Litwinów i Ukraińców znajdowały w epoce zaborów poklask u tronu carskiego, a dziś ten poklask plus obfite wynagrodzenie „za trudy” jest udziałem upartej, kreciej roboty antynarodowych czynników, budzących „uśpioną świadomość narodową” ciemnego ludu”.

Prawda, jakie proste? — „Krecia robota”. — Ech, wy tumańskie główki, poczytajcie sobie Ksawerego Pruszyńskiego, on wam powie, co to są Ukraińcy. I pouczcie się trochę historii, bo to, dalibóg wstydzicie się takie bzdury: „Pierwotne są formy bytu tego ludu; język gruby, nieociosany. Zabobon i pijaństwo hula. Trudno w nim (w czym? w zabobonie? w pijaństwie? czy w ludzie?) doszukać się śladów polskiej kultury, która bezsprzecznie płonąć w nim musiała za rządów Jagiellonów i ich następców”.

Bezsprzecznie? A ja myślę, że sprzecznie! Coś gdzieś słyszało się i poplątało wpływ kultury na masy szlacheckie z odrębnym, swoistym surowym bytowaniem ludu. Co nie jest jedno i to samo. Dalekie to niestety od „płonącej kultury w ludzie”. Uczyć się trzeba, panowie akademicy, uczyć. Właśnie tak, jak to radził Stefan Batory: *disce, puer, ego te faciam mościpanie! Discite, pueri, discite!*

Cóż, kiedy ci akademicy wołają drukować bzdurne artykuły i żydożercze enuncjacje. Mimo to mają jeszcze odwagę chępcić się demokratycznym humanitaryzmem. „Ten demokratyczny humanitaryzm jest—zapluwa się w ordynarnym antysemityzmie redakcja „Traktu”, — niestety cechą aryjską. Trzeba go na pewien czas przytłumić”. Naturalnie w tym celu, żeby wreszcie sprawa siedzenia została rozwiązana. Bo inaczej — inaczej—wołają obiecujący młodzieńcy—„następne żądanie będzie już bezkompromisowe:—Żydzi z polskich uniwersytetów precz! I biada tym, — groźnie ostrzega

py, gdy chodzi o wskazanie sposobu, jak to ma się odbywać, zwłaszcza wśród otoczenia, częstokroć wielce wrogiego tej procedurze różnicowania się. Daremnie czytelnik spodziewałby się tu, że autor publikacji wskaże *aliquid novum*, co ma już nieomylnie wyodrębnić jedno ugrupowanie od drugiego. Tymczasem to różnicowanie się wzajemne nie może jednak znowu obejść się bez uwzględnienia właśnie zwyczajów, mowy, strojów, cech fizycznych i psychicznych i t. d., więc wracamy tą drogą do podejrzanego i niemiłego naszemu uczonemu rejestrowania cech etnicznych, lingwistycznych i etnograficznych. „Różnicowania etniczne należą więc do kategorii zjawisk społecznych”. Czy jednak naprawdę nastąpiła taka już fuzja bez reszty etnologii z socjologią? Czy to tylko osobisty pogląd lingwisty i etnologa p. O., potrzebny mu dla stworzenia własnych sprawdzianów, do swoistego rozwiązania problemu etnicznego ludności Polesia?

autor,—którzy w odpowiedzi na to pójdą tępą, nieprzekonywującą drogą walki z młodzieżą”. Podziwiamy tupet i groźbę.

W średniowieczu był czas, że rozpowszechniło się raubritterstwo, czyli pospolity rozbój na środku gościńców i traktów handlowych. „Rycerze” łupili skórę z kogo się dało i kto się nawinał pod rękę. Zrabowanym łupem wypełniali własne kalety i zdobili wnętrza swoich sępicz zamków. Ideologiczna gromada na „Trakcie Batorego” jeszcze dzisiaj nie grabi, ale wytkniętym traktem idzie w tym kierunku na całego. Czyż niema na to rady? Chyba jedna. Trzeba tych nowoczesnych hajdamaków potraktować tak, jak na to zasługują: rozłożyć na kobiercu i złożyć porządnie batem to miejsce, które obecnie dominuje w ich ideologiczno-polemicznych rozważaniach.

## Nieoczekiwany cios.

W Wilnie od szeregu lat istniały trzy białoruskie organizacje oświatowe: najstarsza—T-wo Szkoły Białoruskiej, znane pod popularnym skrótom T. B. Sz.; dalej—Białoruski Instytut Gospodarki i Kultury (B. I. G. i K.) istniejący od roku 1926; wreszcie najmłodsza — T-wo Oświaty Białoruskiej (T. B. A.), które po rozłamie i ustąpieniu najbardziej czynnych członków w r. 1934 przestało wykazywać jakkolwiek działalność.

Prym w pracy kulturalno-oświatowej zwykle trzymało T. B. Sz., założone w r. 1921, które w najświetniejszym okresie swego istnienia naliczało przeszło 15,000 członków i około 2,000 kółek lokalnych „hurtków”. Ze względu na masowy charakter organizacji, która przyciągała do pracy kulturalno-oświatowej najbardziej żywe i czynne społecznie elementy wsi białoruskiej, odciągając takowe od politykowania, zaczęła się nią—szczególniej po zlikwidowaniu „Hromady”—interesować Kompartja. Komuniści starali się wciskać do hurtków, by nadawać im zupełnie nieodpowiedni kierunek, a gdy to się nie udawało, nie wahali się poprostu złośliwie prowokować T. B. Sz. Korzystając z tego, władze administracyjne, zawsze podejrzliwie spoglądające na działalność organizacji białoruskich, nie omieszkały rozwinąć akcji likwidacji

Idźmy jednak dalej. „Własna grupa etniczna danej jednostki, to ta ekstensja jednorodności własnego otoczenia... Gdzie brak tego, tam zaczyna się świat grupy obcej, odrębnej”. „Na tych różnicach wspiera się poczucie odrębności grupowej. Znajduje ono swój wyraz w całym schemacie wyobrażeń, które grupa tworzy o sobie i o swoich sąsiadach i który nazwiemy wizerunkiem grupy”. „Grupa etniczna, jako grupa o bardzo luźnej organizacji, nie posiada swego wizerunku... Biedna ta grupa etniczna! Nie ma ona nawet swego wizerunku i naogół nie podpada pod żadną zuczonych definicji p. Obrębskiego.

„Jakie są elementy składowe tego wizerunku? Przedewszystkiem wchodzi tu strój... Drugą ważną częścią składową wizerunku jest język...” Ważne są więc te dwa momenty... Cóż! „Nie są one jednak jedynymi. Oprócz nich istnieją również inne”. Temi są: typ fizyczny, cechy psychiczne, wreszcie właściwości kulturalne... Zdawać się by mogło, że już oto

cyjnej lokalnych kół oraz zarządów okręgowych T. B. Sz., stosując represje nie tylko w pojedynczych wypadkach ujawnienia kłosał komunistycznych, lecz do całej kulturalno-oświatowej pracy T. B. Sz.

„Zawieszono” setki „hurtków”, prawie wszystkie zarządy okręgowe, a w pewnym okresie — i centralę wileńską T. B. Sz., aczkolwiek kierownicy T. B. Sz. po zejściu z widowni grupy „Zmahańnie” — na własną rękę czynili energiczne wysiłki celem ochronienia T. B. Sz. od komunistycznych zakusów, zagarnięcia t-wa pod swoje wpływy i wreszcie dobiło się „odwieszenia” Zarządu Głównego.

Ostatnie lata przedstawiają obraz heroicznej walki kierowników T. B. Sz. z komunistami, którzy w licznych ulotkach nie szczędzili osiarych słów i połażanek pod adresem najbardziej czynnych członków centrali i poszczególnych „hurtków”. Na pomyślnym wyniku tej walki wybitnie zaważył zarówno zwrot polityki sowieckiej w stosunku do Białorusinów w B. S. S. R., których od r. 1928 zaczęto w czambuł oskarżać o nacjonalizm i wrogi stosunek do władzy sowieckiej, deportując w głąb Rosji i na „Sołowki” setki białoruskich działaczy kulturalnych z rektorem uniwersytetu białoruskiego w Mińsku prof. Piczetą na czele jak i zmiana ustrojów w społeczeństwie białoruskiem, które się całkowicie wyżyło już naiwnej wiary w wyzwalającą rolę Sowietów w stosunku do Białorusinów w Polsce. Momenty te kierownicy T. B. Sz. wykorzystali w całej pełni, celem przywrócenia swojej organizacji charakteru wyłącznie kulturalno-oświatowego i demokratyczno-narodowego.

T. B. Sz. skupiało w swych szeregach przeważnie elementy postępowe — o poglądach społecznych radykalnych, aczkolwiek dalekich od komunizmu: radykalizm ten bowiem dąży przede wszystkim do zdobycia dla chłopca białoruskiego ziemi — i to *własnej* ziemi. Pod względem ideologicznym organizacji tej przeciwstawił się „Instytut”, który był domeną chadecji białoruskiej. „Instytut” zrzeszał dla pracy kulturalno-oświatowej elementy o ideologii do pewnego stopnia zachowawczej. Na czele jej stali księża katolicy, co też zawsze nadawało jej charakterystyczne zabarwienie. „Instytut” powstał przed 10 laty i aczkolwiek nie posiadał w swej historii kart tak świetnych, jak T. B. Sz., to jednak rozwijał wcale pokazną działalność, w okresie rozkwitu T. B. Sz., o wiele mniej krępowaną przez władze administracyjne, niż praca „hurtków” organizacji konkurencyjnej. Ta oso-

bli-a „dystynkcja”, stosowana przez władze, jeszcze bardziej przyczyniła się do pogłębienia antagonizmu pomiędzy organizacjami o rozbieżnych założeniach ideologicznych.

Rok 1936 przyniósł głęboką zmianę w stosunkach pomiędzy T. B. Sz. i „Instytutem”, co, oczywiście, zostało umożliwione przez zmianę nastrojów w szerokich kołach społeczeństwa białoruskiego. Konkretną sprawą, która pogodziła wczorajszych antagonistów, była zawsze paląca i aktualna wśród Białorusinów sprawa szkolnictwa w języku macierzystym. Właśnie w roku poprzednim upłynął okres siedmioletni, na którego przeciąg dekretem p. Prezydenta zabronione było wprowadzanie jakichkolwiek zmian w języku nauczania w szkolnictwie, przewidywanych przez ustawę językową z dn. 31.VII.24 (lex Thugutt-Grabski). W ten sposób zaistniała znowu możność prowadzenia usankcjonowanej ustawowo akcji plebiscytowej na rzecz nauki w szkołach po białorusku. Celem wykorzystania tej możności, T. B. Sz. i „Instytut” postanowiły zjednoczyć swoje siły i założyły wspólny „Sekretariat Szkolny”, kierujący akcją.

Akcja plebiscytowa rozwijała się nader intensywnie, nie bacząc na piętrzące się przeszkody. Hasło zdobycia szkoły białoruskiej stało się już oddawna nader popularnym w pewnej części włościństwa. Lecz inicjatorom akcji nie sądzono było doczekać się jej wyników: w samym końcu roku 1936 władze administracyjne zawiesiły T. B. Sz. i „Instytut”, województwo zaś obydwu stowarzyszenia kulturalno-oświatowe rozwiązało.

Charakterystyczne jest w całej tej sprawie to, że zamknięcie stowarzyszeń białoruskich nastąpiło w okresie *zwycięstwa w społeczeństwie białoruskiem kierunku pracy pozytywnej* nad niedawnym jeszcze rozpolitykowaniem, co się uwidoczniło w urządzonym z udziałem wszystkich grup i kierunków białoruskich obchodzie „Dnia Białoruskiej Kultury” w d. 13 grudnia r. u. Zamknięcie poprzedzone zostało masowymi rewizjami u działaczy białoruskich w Wilnie oraz w szeregu instytucji — akurat w tym czasie, kiedy delegacja T. B. Sz. i „Instytutu” bezskutecznie obijała progi Rady Ministrów i Ministerstwa WR. i OP. prosząc o audjencje u premiera i ministra Świętosławskiego... Rewizje te jednak najwidoczniej nie dały żadnych materiałów obciążających, gdyż nikogo nie aresztowano i, jak dotąd, nikomu żadnej sprawy politycznej nie wytoczono. Zaznaczyć warto, iż szu-

mamy wizerunek grupy odrębnej, będącego wiernym odbiciem rzeczywistości. Jednak i temu przeczy z kolei autor, uważając go za niedość jeszcze obiektywny, a subiektywnie irracjonalny. I znowu brak nam kryterjum pewnego i stoimy u początku drogi.

Po tych zawiłych uwagach wstępnych uczony badacz kreśli *etniczną strukturę Polesia* i tak oto pisze: „Analiza ta wykazuje, że lud Polesia wyodrębnia się od otaczających go sąsiadów jako oddzielne, swoiste ugrupowanie etniczne”. Ale czym się wyodrębnia? Dzikością, barbarzyństwem, zacofaniem, pierwotnością..., „która usprawiedliwia postawę pogardy i wyższości (u sąsiadów) wobec Poleszuka i czyni go przedmiotem szydliwych komentarzy i pośmiewiska”. Myli się tu p. O. i przesadza, gdy uważa że „sama nazwa Poleszuka, epitet poleskości, jest obraźliwa: nigdy (?) przy zachowaniu pełnej kurtuazji nie wypowiada się jej prosto w twarz rozmówcy, załączanemu do tej grupy”. Gruba to przesada i już

anachronizm, bo widzimy dziś nawet sporo snobistycznego podszywania się pod nazwę Poleszuka lub znawcy Polesia. Weźmy chociażby reportaże myśliwskie Krzywoszewskiego w warszawskim „Świecie”, lub Ossendowskiego „Polesie”.

Dla p. O. jednak jest niemal dogmatem poczucie wyższości grup pozapoleskich i niższości Poleszków. Tymczasem jakże często wynaszanie się jednego narodu ponad drugi jest w istocie swej tylko humorystycznym przekomarzeniem się i niczem więcej. W każdym razie taki sąd powierzchowny, ogólnikowy, a wypływający jedynie z kontaktów dorywczych nie pozwala na ustabilizowanie wniosków. Uczciwość nakazała samemu panu O. stwierdzić tu, że „Polesie charakteryzuje wybitnie... bardzo luźna struktura wewnętrzna. Polesie nie stanowi jakiegoś jednolitego bloku. Rozbite jest ono na szereg odłamów lokalnych, których jest *tak wiele, że dokładne ich zbadanie*

kano broni i dowodów udziału w działalności rzekomo „komunistycznej” między innymi u tak jaskrawych antybolszewików, jak prezes „Instytutu” ks. Godlewski, były więzień sołowiecki Olechnowicz i inni.

Widzimy więc, iż rok 1936, który na początku swoim zaznaczył się w życiu białoruskim wzmocnieniem pracy kulturalno-oświatowej i odseparowaniem od polityki, zakończył się *katastrofą*. Nie ulega żadnej wątpliwości, iż w szerokich warstwach ludowych wypadki powyższe odbiją się nader niepożądanym dla kierowników polityki mniejszościowej w Polsce echem: wieloletnie wysiłki białoruskich działaczy kulturalnych, którzy nawoływali masy ludowe do pokojowej twórczej pracy kulturalno-narodowej i starali wyzwolić ruch białoruski od niepożądanych zarówno dla Białorusinów, jak i dla Polski, wpływów komunistycznych, mogą zostać zniweczone przez wspomniane posunięcia władz administracyjnych.

H. B.

Prasa polska podaje stale szereg wiadomości o ucisku, stosowanym przez rząd litewski w zakresie życia kulturalnego polskiego. Jeżeli wszystko, co pisma przytaczają, jest ściśle zgodne z rzeczywistością, zasługuje to na protest i napiętnowanie. W imię bezstronności jednak te same pisma powinny zamieszczać również dokładne informacje o represjach, stosowanych względem życia kulturalnego litewskiego w Polsce. Wymaga tego poczucie sprawiedliwości.

## Dwie tezy istotnie.

W organie łotewskim „Brihva Žeme” ukazał się na początku bieżącego miesiąca artykuł jej kowieńskiego korespondenta na temat wzajemnych stosunków Polski z Litwą, a raczej na temat braku tych stosunków. Artykuł utrzymany jest w tonie poważnym i, choć nie ze wszystkimi wywodami autora można się zgodzić bez zastrzeżeń, zasługuje on na przytoczenie w główniejszym ustępie.

Na początku „Brihva Žeme” zaznacza, że po długim milczeniu przemówiły obie strony — polska i litewska w formie półurzędowej. Z jednej strony odezwał się minister Łozorajtis, który zakwestjonował

chęć Polaków do ustalenia normalnych stosunków z Litwą, na co odpowiedziała strona polska za pośrednictwem Pat'a.

„Litwa — pisze dalej łotewski autor — w swym wyjaśnieniu cofa się do samego powstania sporu, w którym widzi głęboki etyczny konflikt. Dla jego likwidacji, według jej poglądu i pojmowania międzynarodowego współżycia, Polacy powinni zrobić więcej, niż dotychczas robili. Takie jest stanowisko Litwy. Polska odpowiedź przytacza litewskie moralno-polityczne zastrzeżenia, lecz zbyt pośpiesznie przeskakuje je, żeby nie zatrzymać się przy zarzutach dotyczących międzynarodowego prawa i moralności. Polska będzie starała się znaleźć drogę do koniecznego praktycznego porozumienia. Litwa w mowie swego ministra nie uchyla się od takiego kierunku i nie chce pozostać w sferze czystej zasady, t.j. żądania pełnego zadośćuczynienia. W rzeczywistości konflikt od tej sfery już od dłuższego czasu się oddalił. Każda z obydwu stron pozostaje przy swym stanowisku. Nadaremnie byłoby szukać w tej części sporu jakiegokolwiek zgodności.

„Zupełnie inaczej przedstawia się rzecz, jeżeli patrzeć na nią z punktu widzenia praktycznego: z punktu widzenia konieczności uwzględnienia pewnych interesów, które czasem mogą mieć większe znaczenie, niż kwestja sprawiedliwości i etyki, gdzie porozumienie, jak już mówiono, jest trudne do osiągnięcia. Biorąc rzecz z punktu widzenia praktycznego, trzeba przyznać, że interesy polityczne, jak również i gospodarcze mogłyby pobudzić obie strony do pertraktacji i pewnego porozumienia. Ani jedna, ani druga strona nie może czuć się szczęśliwa w tym konflikcie, który trwa już tyle lat.

„Prawda, że jak jedna, tak i druga strona zachowuje się tak, jakby konflikt ten jej wcale nie szkodził. Czy to nie okłamywanie się? Jak Litwa, tak i Polska muszą wiedzieć, z jak wielkim zainteresowaniem jest wszędzie śledzony konflikt polsko-litewski, i że wszędzie istnieje życzenie, aby się skończył. To obydwu stronom daje do zrozumienia kierownictwa dyplomacja Europy. Robi się to nie z powodu specjalnie zastrzonego moralnego życzenia, aby nastąpiła likwidacja polsko-litewskiego sporu. W daleko większym stopniu do tego pobudzają inne rozmyślenia, które odnoszą się nie tylko do obydwu ziem — Polski i Litwy, lecz i do innych.

„Jeżeli się mówi o niepodzielnym ogólnym bezpieczeństwie Europy, wtedy to nie jest frazesem.

*i opisanie byłoby wprost chyba niepodobiestwem (podkreślenie nasze). Otóż to!*

Nie sposób zgodzić się dalej z wywodami p. O., gdy mówi, że typowe drobne odłamy ludowe rzekomo nie poczuwają się do jakiejś wewnętrznej łączności między sobą w większej skali. Bo i jakże tę *wewnętrzną* łączność zbadać gruntownie, wymierzyć i ustalić? Trzeba nieraz wojny lub rewolucji, by ona się ujawniła niespornie. Wewnętrzna łączność tkwi nieraz wieki całe w niezbadanych głębiach podświadomości ludu, milkiwego, skrytego, a ponurego z natury, jakim jest mieszkanie błot poleskich.

Wynik dotychczasowych rozważań p. O. streszcza się tak: „Mieszkańcy Polesia stanowią odrębną grupę etniczną, pokrywającą się w swoim maksymalnym zasięgu z fizjograficznym obszarem tej krainy. Zwartość tej grupy wykazuje znaczną niwelację, wynurzającą się bardzo miejscami zaawansowaniem ciężeniem peryferycznych stref Polesia ku grupom po-

zaleskim. Wewnętrznie grupa poleska nie jest jednolita; rozbija się na dwa odłamy, północny i południowy, wyodrębniające się nawzajem przedewszystkiem na zasadzie cech języka, w szczególności zaś jego miękkości i twórczości”.

Ostatni ustęp studjum autor poświęcił zagadnieniom narodowościowym Polesia. Notujemy tu oświadczenie etnologa, że „niemożność.. ujęcia podziału etnicznego Polesia w kategoriach narodowościowych nie przesądza bynajmniej o nieistnieniu zagadnienia narodowościowego na Polesiu. Zagadnienie to istnieje i nie może być pominięte”. No, dzięki i za to.

Oczywiście, jednostek narodowo-uświadomionych w sensie zachodnio-poleskim jest na Polesiu nie tak dużo. Polska, Ukraina i Rosja działają bezwątpienia atrakcyjnie i asymulacyjnie na jednostki bardziej słabe duchowo, a spragnione łatwego przejścia do innych klas społecznych czy grup etnicznych. Niegdyś tu

Oznacza to, że z punktu widzenia takiego pożądanego bezpieczeństwa, konieczne jest znalezienie drogi do stworzenia również i na wschodzie kolektywnego bezpieczeństwa. Dopóki na wschodzie Europy istnieje spór między Litwą i Polską, w tym miejscu trudniej jest stworzyć bezpieczeństwo, co hamuje ogólną pracę pokojową. Dyplomatyczny i społeczny nacisk Europy w celu zabezpieczenia pokoju będzie coraz mocniejszy, i to rozumieją również dobrze Litwini, jak i Polacy. Niepotrzebnym byłoby zastanawiać się, które państwo ten nacisk odczuwa więcej, a które mniej.

„Byłoby również błędem, gdyby jedna lub druga strona starała się ten nacisk wytłumaczyć na niekorzyść drugiej strony i na korzyść swoją. Przyczem, jak już mówiono, Europę nie interesuje już tak wiele kwestja, jaka jest międzynarodowo-moralna treść tego sporu (z punktu widzenia wyższej sprawiedliwości i etyki), lecz wyczuwa się życzenie, aby spór, dla pokoju Europy, został załatwiony praktycznie.

„Patrząc z takiego ogólnego punktu widzenia można znaleźć przyjazne słowa jak dla jednej, tak i dla drugiej strony”...

W związku z powyższem wystąpieniem korespondenta lotewskiego zabrał głos na szpaltach „Kurier Wileński” p. W. Wielhorski w art. „Dwie tezy—dwa światy”, jak zawsze broniąc swej, niejednokrotnie już przezeń podnoszonej tezy: Polacy chcą utrzymać to, co zdobyli w ciągu wieków swym wpływem kulturalnym, Litwini zaś pragną odzyskać to, co utracili dobrowolnie. Słuszność więc po stronie polskiej.

Zapomina jednak przytem p. Wielhorski o pewnym drobiazgu. Niewątpliwie Republikę Litewską zamieszkuje nieco ludności uważającej się za polską, chociaż przeważnie pochodzenia litewskiego, natomiast w Rzeczypospolitej Polskiej mieszka również nie mniejsza ilość ludności, nie tylko uważająca się za litewską, ale i bezwzględnie pochodzenia litewskiego. O sztucznym jej odcięciu poseł Wielhorski nigdy nie wspomina.

a.

## Zygmunt Nagrodzki.

(Wspomnienie pośmiertne)

Jak i wielu innych przyjaciół ś. p. Zygmunta Nagrodzkiego, nie mogłem wziąć udziału w oddaniu Mu ostatniej posługi. Nazajutrz po śmierci zamiesz-

take zdobycze były udziałem Rosji, dziś częściowo tę sukcesję po niej dzierży Rzeczpospolita Polska, wabiąca dosłownie *czapką i papką* świeżo zdemokratyzowanych obywateli wolnego państwa ku sobie. Mimo to Poleszuk zasymilowany nigdy całkiem dobrze się nie czuje i zawsze jest skory do melancholijnych narzekań, co jednak świadczy o trwałości tego typu.

„Stosunek do własnego języka jest jednym z najważniejszych sprawdzianów zarówno poczucia narodowego, jak i łączności z własną grupą etniczną... Jakże się przedstawia stosunek do własnej gwary na Polesiu? Otóż faktem(?) jest, że stosunek Poleszuka do własnej ojczystej mowy cechuje ten sam *Minderwertigkeits komplex*, co jego stosunek do całokształtu swego poleskiego bytowania”. Z tem się łączyć ma, według p. O., poleski „podziw dla ziemi cudzego kruju, dla jego „weselskości”, jego bogactwa i dostatności i wspomnienia walorów jego menu”.

czone zostało w pismach wileńskich ogłoszenie, w którem obiecano później podać do wiadomości publicznej czas i miejsce pogrzebu. Nie zrobiono tego.

Niech że więc choć ta garść wspomnień, skreślona naprędce pod świeżem wrażeniem tego zgonu, posłuży za wyraz szczerzego szacunku mojego do osoby zmarłego.

\* \* \*

Po raz pierwszy spotkałem się z Nagrodzkim w roku 1904, gdy przyjeżdżałem z Mińska do Wilna na konspiracyjny zjazd inteligencji krajowej. Brali w nim udział Polacy, Litwini, Białorusini. Czy byli tam również Żydzi—dziś już nie przypominam. Wówczas właśnie zapoznałem się z Nagrodzkim, lecz była to znajomość przelotna. Bliższa nawiązała się od roku 1906, gdy na stałe osiadłem w Wilnie. Odtąd w ciągu trzydziestu lat stale blisko stykaliśmy się zarówno na terenie pracy ogólnokrajowej, jak i białoruskiej. Ten okres czasu był dostatecznie długi, bym mógł wyrobić sobie należyte zdanie o zgasłym działaczu: jego praca społeczna rozwijała się na moich oczach.

Nagrodzki należał do najszlachetniejszego typu demokratów krajowych. Jego ideologia wyrosła z samego życia. Syn pachciarza w Żułowiu Piłsudskich rósł w bezpośredniej bliskości ze wsią białoruską; bawił się z dziećmi wiejskimi, wchłaniał w siebie wpływy, idące od ludu, słuchał pieśni białoruskich, bajek, legend, opowiadań. I tu posługiwał się, oczywiście, językiem białoruskim. Ale jednocześnie ten chłopak był bliski do dworu, gdzie miał rówieśników „paniczów”: „Ziuka” i jego rodzeństwo. Tutaj był świat zupełnie inny: polski; tutaj mówił po polsku. Tutaj słuchał rozmów o sprawach polskich, o dawnej Rzeczypospolitej, o jej rozbiorach, walkach heroicznych za wolność Polski. Ale obydwie te światy—świat białorusko-ludowy i polski-dworski—nie kolidowały w jego duszy ze sobą; złotym mostem między nimi był szczerzy demokratyzm, jaki panował we dworze Piłsudskich. A gdy młodzi Piłsudscy wyrosli i zaczęli samodzielnie myśleć, ów podstawowy demokratyzm rozwinął się w postaci ideologii socjalistycznej. Socjalistą stał się przedewszystkiem najbliższy Nagrodzkiemu i najbardziej ulubiony rówieśnik jego—„Ziuk”.

Materjalne warunki nie dały możliwości Zygmuntowi Nagrodzkiemu zdobyć wyższej oświaty. Życie wcześniej zmusiło go do szukania pracy zarobkowej

W istocie nic w tem typowo poleskiego, bo szlachta i mieszczaństwo polskie nieraz też lubią podziwiać cudze porządki i zapalać się do walorów ich stołu, o czem świadczy m. i. wierszyk, zaczynający się od słów:

*Indyk z sosem,  
Barszcz z bigosem,  
Jedli dawniej pany...  
Dziś ślimaki  
I robaki  
Jedzą jak bociany.*

Poleszuk, acz gorzką zbyt widać często jest jego dola, nie traci nawet humoru i wtedy, gdy na nią narzeka. Ot, dla przykładu skarga: *Odny sztany na dwóch. Chto rańsze wstanie, toj pierwszy naciahaje.* Z wielu względów p. O. uważa, „że to, co ob-

na własne utrzymanie. Osiadł w Wilnie i tutaj pracował w handlu. Przez szereg lat był zatrudniony w kooperatywie przy ul. Tatarskiej) na przełomie 80-ych i 90-ch lat). Poźniej udało mu się stworzyć własny warsztat pracy w postaci składu narzędzi rolniczych, który wkrótce stał się nader poważną placówką handlową i dał Nagrodzkiemu możność materialną realizowania swych zamierzeń ideowych.

Bo był on zawsze najczystszy ideowcem. Konspirował wraz z „Ziukiem”, któremu oddał wiele usług nader poważnych w jego robocie „wywrotowej”. Ale działał i na własną rękę, miał swoją własną dziedzinę pracy. Zapoczątkował on mianowicie w Wilnie szerszą działalność wśród licznej rzeszy rzemieślników, zwykle najbardziej zapomnianych przez inteligencję. Pracował nad zorganizowaniem rzemieślników i podniesieniem ich poziomu kulturalnego. Żył wspólnym życiem z nimi, urządzał wycieczki, majówki, wieczornice. Na ostatnich sam występował, jako recytator wierszy (m. inn. białoruskich Bohuszewicza), ubrany w świtkę białoruską. Tworzył biblioteczek dla rzemieślników, organizował wydawnictwa popularne\*).

Lecz pamiętał i o ludzie wiejskim—przedewszystkiem białoruskim, wśród którego rósł od dzieciństwa. Sam rodzaj pracy — w kooperatywie, a potem we własnym składzie narzędzi rolniczych — wpływał na utrzymanie kontaktu z ludnością włościańską, która przyjeżdżała do Wilna po zakupy. Kiedy zaczęły do Wilna napływać transporty szwarcowanej przez granicę „Dudki białoruskiej” Bohuszewicza, Nagrodzki kolportował ten zbiorek wierszy białoruskich o treści społecznie mocno radykalnej wśród swoich klientów—włościan. Gdy zaś pierwszy nakład „Dudki” został całkowicie wyczerpany, posłał do wydawnictwa Anarchy w Krakowie przez adwokata Aleksandra Łapińskiego sto rubli na przedruk zbiorku, co też stało się skutecznym.

Był w wielkiej przyjaźni z autorem „Dudki”: łączyła ich wspólna ideologia i wspólne ukochanie ludu. Nagrodzki niejednokrotnie dawał Bohuszewiczowi tematy do wierszy i opowiadań białoruskich. Gdy poeta, który pracował w Wilnie jako adwokat, opuścił Wilno i przeniósł się w zacisze wiejskie, dawni przyjaciele wileńscy mało o nim pamiętali, z wyjątkiem Nagrodzkiego, który częstokroć odwiedzał

tego dobrowolnego samotnika w jego majątku Kuszlanach, a gdy Bohuszewicz w r. 1900 umarł, Nagrodzki, nie mogąc osobiście pojechać na pogrzeb poety, zorganizował delegację rzemieślniczą z krawcem Zakrzewskim na czele, która zawiozła na mogiłę Bohuszewicza wieniec z napisem białoruskim.

Swoje przywiązanie do języka białoruskiego ujawniał Nagrodzki, między innymi, w pisaniu wierszy białoruskich. W roku 1901 był on aresztowany i siedział w tak zwanej „Priedwarilce” (więzienie śledcze przy ul. Szpalernej) w Petersburgu. Tam to szczególnie ostro musiał odczuwać rozłąkę z krajem i tam napisał swój pierwszy wierszyk białoruski p. t. „Da żonki majaju Wilni”. A gdy w Borejkowszczyźnie odbywała się uroczystość odsłonięcia pomnika Syrokomli, Nagrodzki, ubrany w sukmanę ludową, wygłosił swój własny wiersz okolicznościowy w języku białoruskim, składając w imieniu włościan hołd poecie, który rzucił hasło: „miłujcia sia ludzi! \*)” Kiedy zaś coraz bardziej zaczął się rozwijać białoruski ruch odrodzeniowy, a w Wilnie w r. 1906 powstały pierwsze czasopisma białoruskie, wychodzące legalnie, Nagrodzki chętnie spieszył z pomocą zarówno „podpolnym” działaczom białoruskim, jak i owym czasopismom, zamieszczając w nich stale dobre płatne ogłoszenia o swej firmie, drukując po białorusku katalogi i t. p. Te swoje szczere sympatie dla sprawy białoruskiej zachował do końca życia, dając im wyraz przez udział w białoruskich uroczystościach narodowych, udzielając ciekawych informacji ze swej przeszłości oraz interesujących badaczy białoruskich materiałów ze swojego archiwum.

Również przychylny był Litwinom. Na jego to oczach wyrastał przecież i odrodzeniowy ruch litewski, wielu przywódców tego ruchu znał osobiście i sympatyzował z ich pracą. A gdy odbywał się ów głośny óngis proces o zajęcia w Krożach, gdzie carscy siepacze przeleli krew włościan litewskich, Nagrodzki nie szczędził trudu, by przyciągnąć i ośmielić świadków, mających zeznawać przed sądem, by dopomóc tym ciemnym przeważnie ludziom w daniu świadectwa prawdzie. Bo prawdę zawsze uważał za dobro najwyższe i w kompromisy z nią nie wchodził do ostatnich chwil swego życia.

Nagrodzki był krajowcem tego typu, który Białorusinów i Litwinów uważał za swych braci, a dla

\*) Autografy obu wierszy posiada Muzeum Białoruskie im. Jana Łuckiewicza w Wilnie.

\*) Piszę o tem tylko pobieżnie, bo może ktoś bliżej stojący do tej dziedziny pracy Nagrodzkiego zechce ją szerzej oświetlić. A. Ł.

serwujemy współcześnie na Polesiu, jest zjawiskiem nowym, że mamy tu poprostu do czynienia z produktem rozkładu dawnego archaicznego społeczeństwa i rozpadu grupy etnicznej”. Starcy, epigonowie dawnego Polesia, mieli nierównie więcej poczucia godności osobistej i nawet dumy z przynależności etnicznej do „poleskości”. Jeśli rozkład jaki jest na Polesiu, to doprawdy przypisać go trzeba w dużej mierze iniekcji dawniej rosyjskiej, dziś polskiej, które umieją częstokroć łatwiej oderwać od pnia etnicznego, niż przeszcześcić udatnie na obcy, rosyjski lub polski. Dzięki temu Poleszuk przestaje być sobą, stając się *Düingervolk*'iem, czyli narodem — mierzwą.

Zresztą i wynarodowianie idzie na Polesiu bardzo trudno. P. O. powiada: „Ten cały zespół nowych postaw kulturalnych wyjaśnia nam przyczyny tej oporności, którą Poleszuk wykazuje w unarodowieniu go i tej nieuchwytności jego sylwetki narodowościowej,

która dziwi nas wszystkich: Polaków, Ukraińców Białorusinów”. Etnolog nie wyklucza poprawy pod tym względem, w postaci jakiejś kompensacji dzisiejszej psychozy Poleszuka, a swą broszurę kończy takim wnioskiem: „W każdym razie, tak jak jest obecnie, ludzie Polesia — w swej przeważającej masie — nie są oni ani Ukraińcami, ani Białorusinami. Przystają być Poleszukami. Stają się ludem bez Ojczyzny”. Mybyśmy to sformułowali: *Wciąż jeszcze są tylko sobą*.

Studjum p. Obrębskiego aż nadto może być wyzyskane przez najnowszą politykę osadniczą, jako naukowo opracowaną jej rację na Polesiu.

Roxolanus.

ziem b. Wielkiego Księstwa Litewskiego żądał najszerszego usamodzielnienia. Dał tego liczne dowody w okresie, gdy się odbywało organizowanie wskrzeszonej Polski i na porządku dziennym stało pytanie o stosunku do ziem litewsko-białoruskich. Miał odwagę mówić prawdę o charakterze narodowym tych ziem, o odrębnościach etnicznych ich ludności, o zaniedbywanych w Warszawie potrzebach gospodarczych i kulturalnych kraju.

Zawsze pełen inicjatywy i niespożytej energii, gdy chodziło o pracę nad oświatą ludu wiejskiego czy miejskiego, przedewszystkiem rzesz rzemieślniczych, starał się pracę swoją prowadzić tak, by nie afiszować swojej osoby i swojego udziału w niej. Ta skromność była zasadniczą cechą jego natury. Ci, co patrzyli na działalność Nagrodzkiego, a przedewszystkiem rzemieślnicy wileńscy, którzy z pracy jego czerpali strawę duchową w ciągu wielu lat, zaświadczyć mogą przed świeżą mogiłą, że Zygmunt Nagrodzki dobrze się zasłużył ludziom pracy i krajowi swojemu.

Cześć jego pamięci!

A. Łuckiewicz

## FELJETON

### Ptaki i krzaki.

Zaledwie napisałem tytuł i już się przeraziłem. Czy warto pisać taki feljeton?... A nuż w samym tytule dopatrzą się czegoś niedobrego, jakiejś aluzji do kogoś. Bo to mogą powiedzieć: „ptaki” w tytule umieszczono na pierwszym miejscu, a „krzaki” — na drugim. Co to wszystko ma znaczyć?... Niechybnie, że ptaki symbolizują importowaną władzę, a krzaki — ludność tutejszą. Słabyby ujrzał, głuchyby usłyszał, a nawet głupi od razu się domyśli, że to allegoria wymyślona dla niepoznaki, ale napewno autor, którego myśl, wiadomo, jest przesiąknięta jadem złości i wrogiego nastawienia do... mniejsza o to do kogo, — dopuszcza się ostłoniętej przenośniami obrazy władz i rozpowszechniania fałszywych wiadomości, mogących wzniecić niepokój publiczny.

Jasne jak na dłoni, że taki tytuł ośmiesza władzę, porównując ją z ptakami, dobrze jeszcze, że nie niebieskimi. Ale z pewnością ma na widoku ptactwo przelotne, co to przyleci, wysiedzi nieco czasu na swych jajach, pożywi się i już go nie ma... A ty smutny krzaku, siedź tu i choć płacz.

I już widzę, wszystkie napływowo-przelotne ptaki — Czapllicy, Żórawscy, Kogucińscy, Łabędzcy, Przepiórkowscy, Skowrońscy, Słowikowscy, Srokowscy, (bez „i t. d.” zaznaczam to wyraźnie) — dostaną dreszczu zgrozy, nadmą się, jak najrasowsze domowe indyki i będą szukały już w samym tytule kamienia obrazy, aby mnie tym kamieniem srodze ugodzić.

Przyszło mi na myśl, że możemy zmienić tytuł przez przestawienie wyrazów i machnąć feljeton p. t. „Krzaki i ptaki”?... Może tak będzie bezpieczniej?... Gdzie tam. Zaraz powiedzą, że krzaki, t. j. ludność tutejsza, są na pierwszym uprzywiljowanym miejscu, a ptaki, t. j. władza — na drugim, to znaczy na ostatnim miejscu. Takie potraktowanie miarodajnych czynników stanowi dowód ich lekceważenia, jest ukrytą zniewagą władzy, przewidzianą w artykule 127 Kodeksu Karnego z 1932 r.

W tem miejscu przyszła mi do głowy luźna ref-

leksja, nie mająca nic wspólnego z feljetonem, jaki chciałem napisać, a mianowicie, dlaczego w kodeksie karnym zamieszczono specjalny artykuł, karzący ludność za znieważenie władzy, a niema odrębnego przepisu, karzącego władzę za znieważenie ludności i jej uczuć. Wytłumaczenie tego zagadnienia znalazłem w panującej u nas formule, że przecież nos istnieje dla tabakierzy, a nie tabakiera dla nosa.

Uspokojony tak prostym rozwiązaniem problemu, począłem dalej rozmyślać, jak tu postąpić z tym feljetonem, skoro sam tytuł okazał się tak niefortunny. Po długich rozważaniach wszystkich pro i contra, doszedłem do niezłomnego przekonania, że niema sensu szukać guza, że miejscowe ptaki — Drozdowicze, Pietuchowicze, Woronowicze i t. d. — nie zdołają mnie w razie czego obronić przed atakiem ze strony ptaków przelotnych i że lepiej zrezygnować narazie z tego feljetonu, poczekawszy innej pory, gdy przedstawiciele przelotnego ptactwa odleca gdzieindziej, w inne strony, pozostawiając nam wspomnienia nietyle przyjemne, ile związane ze wspomnieniami historycznymi, które starsi z nas jeszcze pamiętają.

Kiedyś, może, w przyszłości, gdy dzisiejsze czasy staną się historycznymi, jakiś grzebacz w bibliotece publicznej przeczyta poźółkłe karty „Przełądu Wileńskiego” i dowie się z nich, — o ile skonfiskowane numery będą przechowywane w bibliotekach, jako dokument nastrojów (nieskonfiskowanych numerów „Przeł. Wil.” w tym roku jeszcze nie było), — w jakiej atmosferze pracowały pisma periodyczne i wówczas będzie miał możność atmosferze tej nadać odpowiednie miano. Dzisiaj — zawcześnie.

Oto powody, dla których wstrzymałem się od rozwinięcia tematu zawartego w tytule.

Bolesław Szyszkowski.

## Nowy rocznik Litewskiego Towarzystwa Naukowego w Wilnie.

Zwyczajem publikacji, które wydają instytucje naukowe, długo czekał na siebie czekać kolejny rocznik Lit. T-wa Nauk. w Wilnie. *Lietuvių Tauta V* — taką odmienną nosi on nazwę — to duży tom, wydany ładną czcionką na dobrym papierze, a urozmaicony szeregiem poprawnych ilustracji.

Najcenniejszą pozycję obecnego rocznika stanowi autobiografia dr. Jana Basanowicza *Mano gyvenimo kronika ir nerwų ligos istoria (1851 — 1922)*. Autor jej zabrał się swego czasu do dzieła poważnie. Wskazał źródła do niej, w tej liczbie i polskie, i tak je połączył i powiązał z umiłowanymi swemi badaniami lingwistycznymi, że stała się jednocześnie rodzaju studjum folklorystycznego. Lubujący się wyłącznie w anegdocie pamiętnikarskiej czytelnik napewno będzie nieraz się denerwował przy tej lekturze, mający jednak zainteresowanie do językoznawstwa znajdzie tu kopalnię ciekawych wiadomości dlań.

Pamiętnik patriarchy ruchu litewskiego ma jeszcze znaczenie doniosłe, że nic litewskiego nigdzie nie działa się bez jego udziału, bez — lub pośredniego. *Nihil lituanum a me alienum esse puto*, mógł słusznie powiedzieć o sobie dr. Basanowicz. Czy to będzie zdobywanie praw należnych Litwinom na terenie kościelnym, czy zaczątki beletrystyki, czy tajne szkół-



ki, czy wystawy sztuki, czy dążenia do poprawy bytu rolnika litewskiego, żadna z tych prac nie była dlań obcą, a do każdej przyłożył swą niestrudzoną a inteligentną rękę, Przytem był to naprawdę *vir* w znaczeniu rzymskim, t. j. mąż pełen męstwa, niezrażający się niczem, a zawsze idący naprzód. Dodany przeczornie do autobiografii specjalny spis rzeczy i wykaz nazw i nazwisk ułatwiają naukowcom korzystanie z tego cennego wkładu do dziejów ruchu litewskiego w ww. XIX i XX.

Drugą większą zamieszczoną tu pracą jest studjum Florjana Niewiery, poświęcone *Litewskim Franciszkanom Obserwantom* (=Bernardynom) i *pierwszemu okręgowi ich prowincji (1468-1530)* Praca to ściśle naukowa, podana z aparatem źródłowym, a uwzględniająca materiał tak drukowany, jak rękopiśmienny. Pięknie rozpoczęte przez ks. Niewierę badania nad dziejami bernardynów litewskich winny zachęcić go do kontynuowania swej pracy. Autor posiada dużo danych, by stać się dla dziejów *familiae franciscanae* na Litwie tem, czem jest dla niej w Polsce niestrudzony ks. Kamil Kantak.

Z kolei znajdujemy rozszerzone studjum ks. dr. A. Wiskonta „Leonas Sapieha (1557 — 1633)”. Dotychczas znaliśmy Lwa Sapiehę jedynie w oświetleniu polskim, które korzystając z niedawnego obchodu 300-lecia jego zgonu, usiłowało bohatera W. Ks. L. przedstawić jako poprzednika współczesnych działaczy państwowotwórczych w Polsce o zacięciu centralistycznym. Ks. Wiskont właśnie usiłuje przeciwstawić się takiemu krzywdzącemu zacieśnianiu działalności wielkiego męża stanu, a wszystko na podstawie najlepszych źródeł.

Dalej już idą mniejsze, lecz ciekawe prace: z zakresu lituanistyki (prof. dr. E. Fraenkel'a, M. Untulisa)... *Miscellanea* sporządził ks. Fl. Niewiero (*Cauniana*). Tom kończy się szczegółową kroniką prac Lit. T-wa Nauk. w Wilnie.

Obyśmy na rocznik kolejny nie czekali już tak długo.

Rimtas

## „Jantar“

Ukazał się pierwszy zeszyt nowego kwartalnika „Jantar”, wydawanego przez Instytut Bałtycki w Gdyni. Jak powiada podtytuł pisma, jest to „przeгляд kwartalny zagadnień naukowych pomorskich i bałtyckich ze szczególnym uwzględnieniem historii, geografii i ekonomii regionu bałtyckiego”.

W części pierwszej — „Rozprawy i artykuły” — znajdujemy 5 obszerniejszych przyczynków treści historycznej, politycznej i gospodarczej. A więc pisze doc. dr. K. Piwarski o „Udziale Litwy w polskiej polityce bałtyckiej w drugiej połowie XVII wieku”: ciekawe studjum na tle zmagania się Sobieskiego z samodzielną polityką możnowładców litewskich — Paców i Sapiehów, prof. J. Holland Rose (z Cambridge), w artykule pt. „Wielka Brytania i Bałtyk (1780—1812)” w myśl zasady „Handel brytyjski — podstawą polityki brytyjskiej” kreśli podłoże ekonomiczne stosunków W. Brytanii z Nadbałtykiem w przelomowej epoce dziejowej. Wybitną aktualnością odznacza się temat artykułu B. Leitgebera „Układ o Dardanelach jest aktem, który nie może być obojętny dla polityki bałtyckiej”. Mało znany problem z historii Polski jest tematem rozprawy St. Kryczyńskiego „Tatarzy litewscy w walkach Polski i Litwy o Bałtyk i ziemie pomorskie”, W dziedzinie ekonomii morskiej wiedzie nas autoreferat prof. P. H. Seraphima (z Królewca) „Przemiany strukturalne w obrotach portów bałtyckich”.

Druga część numeru — „Przeгляdy i stosunki kulturalne” — obejmuje szereg drobniejszych przyczynków, jak prof. W. A. Rosego (z Londynu) „Rola Wisły w polskiej kulturze”, prof. O. Leooritsa (z Tartu) „Istota i duch Kalewali”, dr. J. Krajewskiego „Notatki etnologiczne” (z ilustracjami na osobnej tablicy) i prof. St. Zajackowskiego (z Wilna) „Problem kraju kłajpedzkiego i Litwy pruskiej w nauce”.

W części trzeciej — „Recenzja” — znalazły się omó-

wienia 11-tu wydawnictw niemal wyłącznie zagranicznych, — dotyczących prawie wszystkich krajów bałtyckich.

Komitet Redakcyjny pisma tworzą: prof. dr. Stanisław Arnold (Warszawa), prof. dr. Franciszek Bujak (Lwów); prof. dr. Jan Bystron (Warszawa); prof. Edward Lipiński (Warszawa); prof. dr. Jerzy Smoleński (Kraków) i prof. dr. Witold Staniewicz (Wilno).

Organ polski Instytutu Bałtyckiego ma nazwę „Jantar”, używaną również w języku polskim na oznaczenie bursztytu; wyraz pochodzenia staropruskiego, który przenikł do słownictwa słowiańskiego, świadczy o bardzo dawnych zależnościach wzajemnych ludów bałtyckich.

Adres Redakcji i Administracji: Gdynia, ul. Świętojańska 23, Instytut Bałtycki.

## Bibliografia.

**Ledóchowski Halka Sigismund Praelat.** *Das Buch von meiner Lebensfahrt.* Prag 1934—1935.

U schyłku bogatego w prace dla kościoła i społeczeństwa życia, sędziwy ongi prałat metropolitalnej kapituły ołomunieckiej dr Zygmunt Halka Ledóchowski wydał luksusową niemal *Księgę o swej podróży życiowej*. Zewnętrznie trochę zniemczony pochodzi on z prastarej rodziny ruskiej, wywodzącej się swoją drogą aż ze Skandynawji. Jak się okazało, żaden z tych składników etnicznych nie zanikł w duszy tego człowieka, który świadomie podtrzymywał przez całe życie i podtrzymuje dziś niezliczone doprawdy kontakty ze wszystkimi, co mają z rodem Halka na Ledóchowie Ledóchowskich coś wspólnego w przeszłości lub teraźniejszości.

Autor omawianego tu tomu odbył tyle podróży, że zna z autopsji całą Europę. Mając wszędzie ustosunkowanych koligatów, miał też on możliwość poznać osobiście cały szereg postaci, jak papieże i cesarze, co zaważyły czynnie w dziejach Europy w w. XIX—XX. Trudno czytelnikowi tej książki oprzeć się wrażeniu, że autor mógłby nierównie więcej jeszcze powiedzieć o tem, co widział i słyszał, lecz narracja szczegółowsza rozsądziłaby wnet ramki jego wspomnień. Jeśli bardzo zwięzła, często wprost protokularna lub depeszowa co do stylu relacja z życia prałata zajęła przeszło stron 412, to dokładny jego opis rozrosłby się już w tomy całe.

Autor wspomnień posiada niezwykle bogatą pamięć (operuje z całą swobodą tysiącami nazwisk osób rozrzuconych po całej Europie), duży zasób wiedzy w zakresie genealogji i heraldyki, przytem swoisty styl, którego znamioną cechą jest m. in. posługiwanie się stale a konsekwentnie, kreską (—) zamiast przecinka. Konia z rzędem temu, kto znajdzie na stronicach 412 chociażby jeden tylko przecinek! Na początku to trochę peszy czytelnika, który jednak potem przywyka i zaczyna nawet cenić męską jedność takiego sposobu wyrażania się, który nie wyklucza wcale szczerego sentymentu i nastrojów poetyckich. Jest tego w książce prałata tyle, że nie wahał się nazwać jej *księgą wieczorną*.

Nie będziemy tu jej ani streszczać, ani omawiać rozdział po rozdziale. Takie sprawozdanie nicby czytelnikowi nie dało. *Księgę o podróży życiowej* prałata Ledóchowskiego trzeba przeczytać.

Czego jednak pominąć nie możemy, nawet w krótkim omówieniu niniejszem, to stosunków nawiązanych przez autora z Wilnem i naogół z naszym krajem. Właśnie przed samym wybuchem wojny, latem r. 1914, prałat Ledóchowski, odwiedzając ziemie swoich przodków, wstąpił poraz pierwszy do Wilna, które nazywa *Jagellonenstadt* — *in Lithauen*. (W tem miejscu zdobi nawet książkę podobizna kaplicy Ostrobramskiej). Stąd pojechał do Łotwy i Estonji, poczem do

głębi Rosji, a wracał do domu przez Polesie, Podole, Wołyń i Ukrainę.

Niezawodnie w Wilnie przemawiały do podrażniającego wspomnienia o przodkach, co jak Teodor Halka walczyli z zakonem niemieckim, jak Piotr Halka obok Litwinów potykali się z Polakami (obaj w w. XIII), jak znowu Hleb i Janusz Halka, stawili czoło pod dowództwem Władysława Jagiełły, w bitwie pod Grunwaldem. Jak się okazało, nawet z rodziną białoruskich Skorynów ród Halka miał jakieś dawne parantele. Dalej Ledóchowscy są spokrewnieni z całym szeregiem starych naszych rodów, jak Górcy, Sierakowscy, Morykoniowie, Tyszkiewiczze, Ostrowscy i in. Tu autor poświęca słów kilka osobie zmarłego ś. p. Ignacego hr. Halka Ledóchowskiego (1856—1927), chlubnie znanego w Wilnie melomana, którego autor dwakroć (1914 i 1917) odwiedził i zastał w pełnym portretów i pamiątek rodzinnych mieszkaniu. Ściany jego miały też zdobić liczne obrazki wyścigów paryskich, które znać były pasją młodzieńczą utalentowanego potem mistrza gry skrzypcowej. Tu u kuzyna widział prałat w dużej szafie oszklonej zbiory niezliczonych skrzypiec. Mówi także o stworzonej przezeń w Wilnie orkiestrze symfonicznej, pośród której niemłody już hrabia wybrał sobie w r. 1921 wśród solistek małżonkę, w osobie wybitnej artystki skrzypaczki Wandy Bohuszewiczówny, kuzynki sławnego F. Bohuszewicza. Wileński hrabia Ledóchowski zmarł bezpotomnie.

Rodzona siostra autora hr. Julja, dziś Matka Urszula, jako generalna przełożona ss. Urszulanek, nieraz gościła już w Wilnie. Kraju białoruskiego dotyczy również artykuł „W błotach pińskich”, gdzie był dwa razy. Tu autor powtarza legendę o Dominikaninie Korzeniewskim. Dalej wylicza osobiście mu znanych arcybiskupów i biskupów, jak Szeptycki, Ropp, Matulewicz, O'Rourke i in. Przypadek chciał, że prałat Ledóchowski ostatnio bawił w Wilnie akurat, gdy przyjechał tu ówczesny nuncjusz apostolski msgr. Ratti, a dzisiaj pap. Pius XI, z którym się spotkał właśnie w kaplicy Ostrobramskiej, przyczem przyszły papież wysłuchał mszy św. prałata, którego znał już z Warszawy.

Rzecz zupełnie zrozumiała, że liczne wyrazy polskie, rosyjskie i naogół słowiańskie stanowiły nieprzewyciężoną trudność dla zecerów i korektorów. Dałoby się znaleźć jeszcze parę błędów. Drzewo genealogiczne podane jest w zbyt małej skali. Czytelnik odczuwa brak wyjaśniających nazw pod tak licznymi ilustracjami i szkicami piórkowemi. Nie zmniejsza to wartości książki.

*Sonderling.*

Varnas. (Staje) Vilnius 1937 r.

Z zaciekawieniem bierze się do rąk ten nowy perjodyk literacki, wydany przez młodych poetów litewskich (wileńskich) ponieważ głos młodych, wkraczających w życie samodzielne, bywa zawsze fascynujący i zniewala do głębszego weń wnikania.

O naszej grupie litewskich poetów trudno narazie powiedzieć coś uchwytnego, jedno da się tylko orzec, że grupkę tę przeżera beznadziejny pesymizm i zniechęcenie do życia, stąd może cechuje ją wybitny sarkazm. Socjolog, gdyby głębiej zainteresował się tą litewską młodzieżą, znalazłby właściwe przyczyny pesymizmu u niej.

Józef Kéksztas (pseudonim?) w wierszach swych

zdradza talent. Ale należało mu pamiętać, że pseudo-metafizyka poetycka dla początkujących jest drogą niebezpieczną.

Annę Micziūtę możnaby określić jako poetkę nastroju, poetkę cichej tęsknoty, poetkę, która kocha samotne skupienia, poszukując swego *ja* poetyckiego.

Albin Žukauskas—to poeta, któremu materialna nędza ludzka szarpie jego wrażliwe serce. Obrazy daje realistyczne. Odczuwa wartość słowa w poezji, tem właśnie góruje nad innymi poetami tej grupy.

Zygmunt Prantkelevicius w formie już przebrzmiałej, modnej przed 20 laty, pisze wiersze przeważnie arytmiczne, arymowane szczęśliwie udaje mu się uzyskiwać efekty skuteczne.

Mimo woli chce się tylko tym młodym poetom przypomnieć starą zasadę, że wierszy się nie pisze,—lecz tworzy.

Drugą część tego perjodyku obejmują artykuły, nieco hałaśliwe, o sztuce, teatrze i literaturze. Jan Vėžas w rozprawie „Sztuka i społeczeństwo” zbyt płytko ujmuje to zagadnienie. Chcąc pisać o rozwoju kultury i zastosowaniu jej, trzeba przedewszystkiem dobrze zdawać sobie sprawę, co to jest ta kultura. V. Drėma w artykule o sztuce dyskutuje z jakimiś wiatrakami. Otrzymuje się wrażenie, iż autor rzuca swoje „oskarżenie” pod adresem nieuchwytnych osób. A. Karužas pisze o muzyce w znaczeniu utylitarnem. Szkoda tylko, że zagadnienie to ujął zbyt powierzchownie. M. Krinickaitė rozprawia o teatrze, zaś W. Rusokaitė dała fragmentaryczne uwagi o twórczości pisarskiej Žemaitė.

Kronika uboga. Pismo ozdobione zostało drzeworytami W. Drėmy. Zewnętrzna szata oryginalna.

W. Sak.

## Konfiskata

Nr. 3 „Przeglądu Wil.” również został skonfiskowany. Starostwo dopatrzyło się występku w art. „O kulturę” (Zamiast feljetonu).

## Od Wydawnictwa.

Wbrew naszym przewidywaniom i zapowiedziom nie możemy jeszcze przystąpić do wydawania pisma w trybie normalnym t. j. dwa razy miesięcznie. Stan zdrowia Redaktora wciąż na to, niestety, nie pozwala. W okresie wakacyjnym zapewne, nastąpi w wydawnictwie nawet mała przerwa ze względu na konieczność odbycia jeszcze przez Redaktora zabiegów kuracyjnych. Dopiero z początkiem jesieni mamy nadzieję wznowić wydawnictwo w ustalonej od szeregu lat formie.